

O szkodliwości tańców w parnym Andrzejewie, o wójcie z Czyżewa co za kratki trafił,
wyrodnej matce z wioski Przyjmy oraz o Kurpiach żeniących się z rublami

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelan.

Ilustracja wyróżniająca opracowanie: Andrzejewo, 13 września 1939 r.

Na fotografii wykonanej przez gefreitra (kaprała) Gilberga, widoczni są żołnierze niemieckiego
76 Regimentu Piechoty, pomagający rannemu polskiemu żołnierzowi w drodze do punktu
opatrunkowego zorganizowanego w kościele w Andrzejewie.

Źródło: *Muzeum Kresów i Ziemi Ostrowskiej w Ostrowi Mazowieckiej.*

Na początek, pierwsza na tych łamach tak obszerna korespondencja z Andrzejewa. Miasta powstałego głównie z tej przyczyny, że klucz brokowski dóbr biskupich był nazbyt rozległy, więc mieszkańcy jego północno-wschodnich zakątków zamiast na targ do Broku jeździli do miast królewskich Ostrowi i Nura, pomniejszając biskupie dochody. W roku 1528 biskup płocki Andrzej Krzycki wyjednał więc u króla zgodę na lokację na terenie kościelnej wioski Wronie miasta zwanego początkowo Jędrzejowem oraz na urządzenie tam targów i jarmarków. Okazuje się, że miejsce na lokację było dość nieszczęśliwie wybrane, bo wilgotne i zdrowiu szkodzące. Zanim jednak reumatyzm powykręcał młodym ludziom stawy, to w dni upalne, a skutkiem wszechobecnej wilgoci parne i rozpalające zmysły, młodzi oddawali się tańcom dzikim i choć starsi pilnie moralności pilnowali, to wiele panien kończyło tańcowanie z zaokrąglonymi brzuchami, a niejeden kawaler zszedł z tego świata podczas bijatyki – jak wiadomo nieodłącznego elementu dobrej zabawy. Grzesznemu procederowi położono wreszcie kres.

Z Czyżewa zaś donoszą o strasznym pożarze i wielkiej aferze. Wójt wraz z kasjerem zdefraudowali pieniądze – wiadomo, że spore, ale jak duże, to dokładnie nie wiemy, bo śledztwo z różnych względów mogło być prowadzone niedbale. W miasteczku nie sposób się nudzić, bo na ulicach dochodzi do regularnych potyczek między starozakonnymi rzemieślnikami, walczącymi o opanowanie rynku dań kosztownych. Każdy żądny wrażeń obywatel chciałby mieszkać w Czyżewie.

Następnie krótka, ale przerażająca informacja z wioski Przyjmy. Okazuje się, że takie rzeczy dzieją nie tylko w hollywoodzkich horrorach, ale po sąsiedzku.

Już po raz trzeci p. Dominik Staszewski snuje rozważania na temat moralności Kurpiów. Niejednokrotnie wspominaliśmy o szerzącej się w puszczy pladze pijaństwa, a tymczasem autor chwali lud leśny, za to, iż małżeństwa zawiera na trzeźwo. Jednocześnie gani ten sam lud, a to z tej przyczyny, że nigdzie nie podchodzi się do instytucji małżeństwa tak cynicznie, jak w puszczy, gdyż Kurpie poszukują nie życiowej partnerki, lecz rubli. Kurpianki także romantyzmem nie grzeszą i wychodzą za mąż „za miejsce” – oby ciepłe i wygodne, bez ojców, dziadków i innych dożywotników.

Od pana Wojciecha N. otrzymałem bardzo interesującą propozycję. Otóż pan Wojciech, mieszkaniec naszej okolicy, zapoznał się z opracowaniami ksiąg metrykalnych, które publikowałem na właśnie wizytowanym przez szanowną publiczność portalu. Pan Wojciech jest wdzięczny, iż dzięki owym opracowaniom odszukał swych przodków już w wieku XVII. Jest jednak mały problem, bo status społeczny antenatów był nader skromniutki, szczególnie w

porównaniu z wysoką pozycją, jaką autor listu zajmuje w obecnej zbiorowości. Co ważne, to pan Wojciech, człowiek wciąż dosyć młody „bywa” tu i ówdzie, ale chciałby „bywać” na salonach sfer znacznie wyższych. Dla piszącego te słowa „bywanie” jest rodzajem trudnej do zniesienia tortury, ale rozumiem osoby rozmiłowane w tego rodzaju perwersyjnej aktywności.

Nadawca listu oferuje okrągłą sumkę za odnalezienie przodków pośród grona nobilów, najlepiej tych z czasów przedmieszkowych, co stanowiłoby przepustkę do towarzystw mocno herbowych, ale i *contry clubem* pan Wojciech też nie pogardzi. Niestety, nie zajmuję się tworzeniem herbowej fantastyki, ale wiem, że są liczni osobnicy, którzy z podobnych zadań wywiązują się całkiem zgrabnie. W zależności od zainwestowanej sumy otrzyma Pan bogaty zestaw szlacheckich dyplomów, wydruków z almanachów, portretów przodków i rodowych fotografii – wszystkie w kolorze sepia, dokumenty zaś ze złoceniami i obowiązkowymi lakowymi pieczęciami.

Z tego, co wiem, to lepiej z takim zamówionym drzewem genealogicznym zanadto nie przesadzać i wiarygodności opisanych faktów zbytnio nie naciągać. Na chybcika przychodzi mi do czerepu kilka sugestii. Bezpośrednie skoligacenie może wydać się podejrzanym, więc proponuję choćby taką historię. Jakiś Czartoryski zatrzymał się przejazdem we dworze w Morzyczynie. Udając się na spoczynek, odpinał rapier od pasa, ale czynił to tak niedbale, że nieomal pozbawił się przyrodzenia. Szczęśliwie uszkodził tylko garderobę, więc udał się w negliżu do dworskiej kuchni, gdzie w dni zimowe urzędowała Maryna N., wiejska dziewczyna wyjątkowo biegła w obracaniu igłą i nicią. W ciemnej kuchni powitał go młody, dźwięczny głos – I cóż tam wielmożny pan niesie? Już miał odpowiedzieć, że ma po parze rozdartych w kroku pludrów i kalesonów, gdy ujrzał nie dziewczę, lecz cudowne zjawisko. Niczym piorunem został ugodzony strzałą Amora. Postanowił pojąć prostą dziewczynę za żonę, co spotkało się z oporem wstecznej i zacofanej rodziny utytułowanego absztyfikanta. Postępowy romantyk wyrzekł się więc nazwiska ciemiężców, przyjął plebejskie nazwisko żony i wiódł nędzny, ale sielankowy żywot pańszczyźnianego chłopca, bo wiadomo, że pieniądze i tytuł szczęścia nie dają. Gratuluję Panu spowinowacenia z wielkim rodem!

Przychodzi mi na myśl jeszcze jeden, wyjątkowo prosty i tani w realizacji pomysł. Oglądałem wczoraj kolejny odcinek pewnego brytyjskiego serialu. Padło tam określenie *landlord*, odnoszące się do osoby wynajmującej mieszkanie. Z nadesłanej korespondencji wynika, że jest Pan posiadaczem pewnej nieruchomości, którą to realność raczy Pan wynajmować, co stanowi legalną podstawę do używania wyżej wymienionego, zagranicznego tytułu. Czemu więc nie sprawić sobie wizytówek z napisem – *WOJCIECH N. LANDLORD*. Oczywiście na wizytówce proszę zamieścić pełne nazwisko, a nie „N” z kropką. Za niewielkie pieniądze wejdzie Pan w posiadanie brytyjskiego wirtualnego adresu, najlepiej w miejscowości, której elementem nazwy jest słowo *castle*. Adres umieści Pan pod swym utytułowanym nazwiskiem i sprawa szlachectwa załatwiona – tanio i wszystko w granicach prawa. Ponownie jednak przestrzegam przed szarżowaniem – żadnych pumpów, kiltów, nakryć głowy w stylu *derby hat* czy sherlockowskiego *deerstalkera*. Proponuję unikać rozmów z osobami dobrze znającymi język angielski, a jeśli taki podstępny gad się przytrafi, to kotlet mielony w usta i bełkot, mający naśladować język walijski – nikt go nie zna. Gdy ktoś zapyta o szczegóły pańskiego lordostwa, to nie potwierdzać i nie zaprzeczać – dobre jest dwuznaczne „hmmm”, tajemnicza mina i przerwanie dyskusji z ciekawską osobą o z pewnością znacznie niższym od Pana statusie.

Z LISTÓW DO ZORZY.

Z Andrzejewa powiatu ostrołęckiego, w gub. łomżyńskiej.

Andrzejewo – to osada położona nad rzeczką Broczkiem, 8 wiorst odległa od stacji kolejowej Czyżew. Gdyby nie to, że ma rozkład miasta, rynek dość obszerny, ulice poznaczane nazwiskami, trochę bruku i kilkuset Żydów i sklepików żydowskich, nazwać by je należało raczej wsią, aniżeli miasteczkiem. Mieszkańcy tutejsi wszyscy są rolnikami; ziemi mają niedużo, ale jakoś pracują i na małych kawałkach gruntu dają sobie radę, biedy nie odczuwając.

Każdy gospodarz, oprócz trzody chlewnej i krów, ma kilka owiec, z których wełny gospodynie wyrabiają tkaniny na odzież. Idąc ulicą, zauważyć można widniejące przez okna krosna, a na nich andrzejowianki tką wcale ładne materje na sukienki, a te swego też kroju pięknie wyglądają; nie kupują płócien na koszule, nie wydają pieniędzy na perkaliki, bo same umieją zrobić trwalsze i praktyczniejsze materiały. Ziemi nie mają w jednym miejscu, ale w kilku, podrobioną na małe działki. Słysząc było, że podobno władze rządowe do tego wziąć się miały, aby cały obszar gruntu, należącego do Andrzejewa, podzielić między mieszkańców tak, aby każdy gospodarz miał jeden kawał ziemi. Czy to przyjdzie do skutku, nie wiadomo. A byłoby to dla Andrzejewa wielce pożytecznem, jak to zresztą każdy dobrze rozumie.

Miasteczko Andrzejewo leży nad rzeczką w nizinie, na gruncie mocnym i wilgotnym, co niedobrze wpływa na zdrowie ludzkie. Domy ma drewniane, przeważnie stare, niskie, – o ile mi wiadomo oprócz nowozbudowanej plebanji, w każdym domu jest wilgoć. W największe nawet upały nocną porą na jakie ćwierć wiorsty od miasteczka odczuwać można wilgotny chłód.

Pod względem moralności w ogóle o całym miasteczku nie można nieprzychylnego zdania wypowiedzieć. Oprócz czterech czy pięciu pijaków, prawie wszyscy są trzeźwi. Młodzież z małymi wyjątkami również jest skromna. Zaniechano schadzek nocnych, tańców, które do niczego dobrego nie doprowadzają. Na takich nocnych tańcach, nawet pod opieką czujnego niby oka starszych, młodzież się uniemoralniała, traciła dużo na duszy i ciele, choćby tylko dlatego, że wskutek hasania do późnej nocy, nie wysypiała się i do pracy zdolną nie była. Co do reszty, toć wiadomo, jak to na podobnych tańcach, niejedna dziewczyna wstyd straciła, a niejeden młodzian przy hulance i bójkach naraził się na stratę zdrowia, a niekiedy i życia.

Kościół tutejszy jest murowany, obszerny, tylko nieco za brudny. Restauracja tej świątyni kilka tysięcy rubli będzie kosztowała, na co się od razu można zdobyć, chociaż powiedzieć należy, że przy dobrych chęciach można by i tego dzieła dokonać. W tym roku przerobiono organy kosztem półtora tysiąca rubli, – może i cała świątynia doczeka się pięknego odnowienia.

Księży dwóch pracuje w Andrzejewie. Ksiądz wikariusz należy do grona kapłanów, którzy starają się o podniesienie upadłej muzyki kościelnej w kraju. To też oprócz zajęć parafialnych, znajduje on dużo czasu na uczenie tutejszej młodzieży śpiewu kościelnego. W krótkim stosunkowo czasie drużyna śpiewacka przez niego zebrana nauczyła się wykonywać utwory kościelne, liturgiczne, najlepszych twórców pieśni religijnych zagranicznych.

W Andrzejewie jest apteka, a mieszkańcy rozumieją jej potrzebę, bo często się do niej po lekarstwa zgłaszają. Nie zamieszkał tu jeszcze lekarz – pewno dlatego, że zdaje się nie być miejsce dla niego odpowiednie, wszakże śmiało twierdzić możemy, że miały tu niezłe utrzymanie, bo choć to miescina mała i niebogata, ale okolica jej jest zamożną. Niejeden zażądałby pomocy lekarskiej, a wstrzymuje się od tego, bo daleko po doktora posyłać. Mojem zdaniem, doktor, który by tu chciał zamieszkać, musiałby się inaczej urządzać, aniżeli zamieszkały w dużym mieście. Lekarze, jeśli będą wykazywali większe poświęcenie dla chorych, jeśli nie tylko większe lub mniejsze wynagrodzenie będzie miarą ich oddania się cierpiącemu, ale współczucie, serce, miłosierdzie będzie nimi powodowało, większe będą mieli zaufanie do ludu i częściej będą wzywani do chorych z tego ludu. Wiadomo nam dobrze, że niejeden biedak, gdyby miał pomoc lekarską, wyzdrowiałby, żyłby jeszcze długo, a bojaźń, że doktor dużo żąda za wizytę, wstrzymała go od proszenia jego porady – i zszedł z tego świata.

W Andrzejewie są trzy sklepy chrześcijańskie, reszta żydowskie. Żydzi jednak większe mają powodzenie, aniżeli chrześcijanie. Głównie mamy tu na uwadze sklep towarów kolonialnych pod firmą „Leonard”, obecnie należący do p. Maurycego Stempkowskiego, który trudni się krawiecczyną i szyje ubrania męskie. Co miesiąc są tu jarmarki, największy zaś po św. Bartłomieju.

Zrobić jeszcze wypada wzmiankę o pożarze. Po spaleniu się Zambrowa i Goworowa, rozeszła się tu, rozumie się bezpodstawnie, pogłoska, że Andrzejewo spalić się musi. Jakoż wypadek pomógł sprawdzeniu się tej pogłoski. Pewnego dnia o godzinie 9 rano, gdy wszyscy ludzie w pole się porozchodzili, zapaliła się stara, nie zamieszкана przez nikogo chałupa. Gdyby nie dzielna obrona p. Majewskiego, miejscowego aptekarza, Jana Pszczołowskiego i Antoniego Polaka, cały Andrzejów mógłby pójść z dymem. Trzej ci, wszakże ludzie, innym dodając odwagi, z narażeniem własnego życia rozwalali palące się budynki, a bronili tych, które jeszcze stały całe. Należy im się za to podzięka. Potem miała się utworzyć ochotnicza straż pożarna, na uchwale gminnej zrobiono nawet w tej sprawie, jakieś postanowienie, ale nie wiadomo, jaki z tego będzie skutek.

I. Kr.



Na fotografii wykonanej przez hauptmanna (kapitana) dr. Rollmana widoczne jest miejsce spoczynku niemieckich żołnierzy z 76 Regimentu Piechoty poległych w walkach o Andrzejewo w dniach 11-13 września 1939 r.

Źródło: Muzeum Kresów i Ziemi Ostrowskiej w Ostrowi Mazowieckiej.

Czyżew. W niedzielę rano wynikł pożar w osadzie naszej, spaliło się siedem domów drewnianych. Przyczyna pożaru na razie niewiadoma. Straty są dosyć znaczne, gdyż w całej prawie osadzie powynoszono rzeczy i towary z mieszkań, wskutek czego dużo przedmiotów uległo zepsuciu i połamaniu. Pożar mógł przybrać większe rozmiary, lecz ratunek i brak wiatru przerwały dalsze szerzenie się strasznego żywiołu.

F. W.

KORESPONDENCJE.

Gmina Dmochy-Glinki (pow. Ostrowski).

Zarząd naszej gminy mieści się w Czyżewie, miasteczko jeszcze przed rokiem 1866 z burmistrzem i magistratem. Obecnie jest to osada, nazwa zaś gminy pochodzi od jednej z sąsiednim z Czyżewem wiosek. Ziemia na ogół lepsza jest u nas, niż w innych gminach pow. ostrowskiego, a i dworów obywatelskich jest trochę więcej. „Kultura” ludu i gminy jednak nie wyróżnia się niczem, co by dodatnio przemawiało za t. z. inteligencją ziemiańską i za ścisłą zależnością rozwoju kulturalnego od stopnia zamożności. Dużo, niewątpliwie bardzo dużo, przyczyniła się do tego w ostatnich kilku latach (dawniejszych nie znam i wiadomości nie posiadam) gospodarka społeczno-gminna, ta bolączka powiatu naszego. Był ci u nas wójtem przez lat kilkanaście człowiek energiczny, sprytny, żyjący po pańsku, o którym b. naczelnik powiatu naszego i p. komisarz mieli wysokie pojęcie, stawiając go wzór innym wójtom do naśladowania i pod względem znajomości rzeczy, i uczciwości, i rozumu i taktu, aliści... stała się katastrofa. Struna pękła, muzykant poszedł do więzienia pod zarzutem świadomego i długotrwałego fałszerstwa ksiąg kasy gminnej zaliczkowo-wkładowej razem z kasjerem, przyczem dla uregulowania brakujących w kasie pieniędzy trzeba było sprzedać dom z ogrodem za 4000 rubli i choć w części ratować honor.

Rok 1894-ty był najniezwyklejszy w śledztwie: osoby fikcyjne brały pożyczki, książki były poprawiane i procenty nie trafiały do swoich sum, i. t. d. Sądźmy, że gdyby zarządzić śledztwo szczegółowe, wiele rzeczy innych przytem by się okazało. Rachunki za cholere, kilka lat temu grasującą dość silnie w Czyżewie dotychczas nie są jeszcze całkowicie ukończone, przy ścisłej rewizji wyszłyby na jaw rzeczy bardzo przykre. Zdaje się nam, że obowiązek wyświecenia tych spraw leży na zacnym naczelniku naszym. Tego pragniemy wszyscy, przecież to leży zarówno w interesie prawa i sprawiedliwości, jak i w interesie gospodarstwa gminnego. Może tych kilka cyfr, wyświecili choć trochę naszą gospodarke. Dla sprawdzenia weźmy lata 1885 i 1889.

Wsi w gminie naszej 55 i jedno miasteczko; ludności było w r. 1885 – 6.205, w r. 1895 zaś – 7.550; ogółem wydatki wynosiły w porównawczych latach 1.600 rb. i 3.269 rb. na morgę gruntu po 9 rb. i 18 k., a więc podwoiły się i doprawdy nie znać tego podwojenia wydatków, nie znać u nas prawie żadnego postępu. Na zasadzie uchwał na cele ogólne gminne wydatkowano 298 i w r. 1895 rb. 987, z rozporządzenia rządu w r. 1885 nie było wydatków wcale, a w r. 1895 było

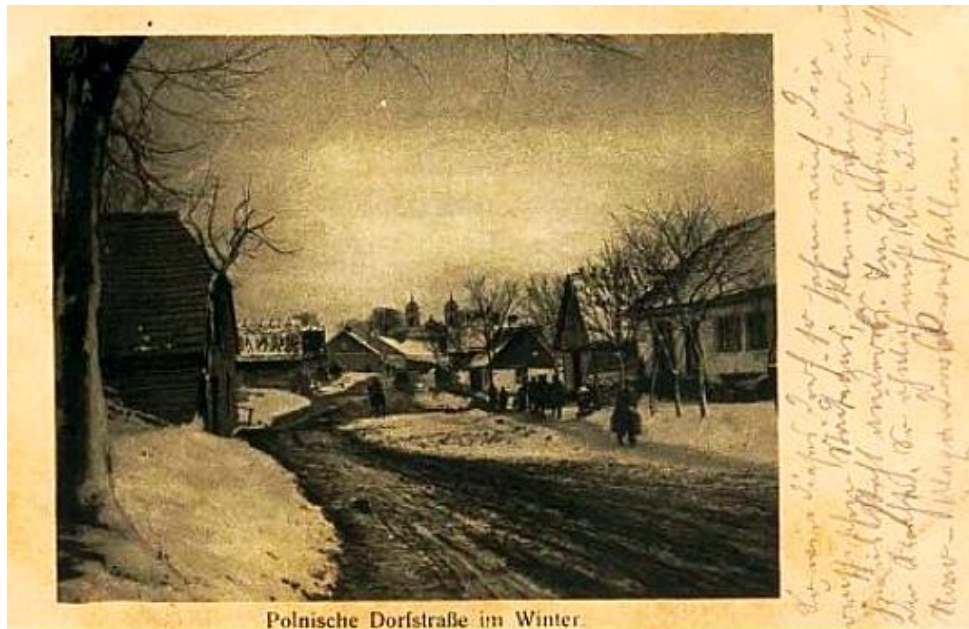
213 rub. Koszt utrzymania kancelarii gminnej wzrósł prawie o 250 rb. rocznie – tylko wydatki szkolne mało co wzrosły.

Fundusz pożyczkowy kasy pożyczkowo-wkładowej gminnej z rb. 9.500 w r. 1885 podniósł się do rb. 40.000 w r. 1895, przy takiej nędznej gospodarce, cóżby to było przy należytem i prawidłowem rozwijaniu się kasy, zresztą może to cyfra i sztucznie rozdęta, bo właśnie wtedy miały miejsce ogromne nadużycia!

W r. 1897 liczonej ludności ogółem 7.660, z tego katolików 5.160, Żydów (w miasteczku Czyżewie głównie) 2.470, ewangelików 17 i prawosławnych 8.

Żydzi prowadzili długą i ciekawą walkę między sobą o t. z. rzezaków, koszerujących mięso; bywały bójkі uliczne, napady na domy i t. p. Obecnie to ucichło. Miasteczko leży przy stacji kolei petersburskiej tejże nazwy o 1 ½ wiorsty: posiada kościół, szkołę, pocztę i telegraf, sąd gminny, aptekę, 2 lekarzy. Dawniej, przed pobudowaniem kolei szedł tędy ożywiony trakt z Łomży, obecnie ruch znacznie zmaleł.

Krynicki.



Wjazd do Czyżewa od strony Nura. Niemiecka okupacja podczas II Wojny Światowej.

Źródło: Gmina Czyżew – fotogaleria, na portalu umczyzew.pl.

[„Echa Płockie i Łomżyńskie” nr 32 z 22 kwietnia 1899 r.]

Z NASZYCH OKOLIC.

Wyrodna matka. W d. 12 marca, mieszkanka wsi Przyjmy, w pow. ostrowskim, 20-letnia W. Sz., dziecko swoje nowonarodzone wrzuciła do chlewka, znajdującemu się tam wieprzowi, który je pożarł. Dreszcz człowieka przejmuje przy czytaniu tej wiadomości.

Moralność i umoralnianie Kurpiów.

(Dalszy ciąg).

Egoizm zatem, jako świadoma dążność podporządkowania dobra bliźnich własnemu, jest podstawą wszelkich stosunków na Puszczy, zresztą jak i wszędzie. Wyrobiona jednak przez wieki zawziętość i srogość, nie mając pola do zastosowania w puszczańskim życiu ze zmianą czasów i warunków; z coraz więcej wzrastającą walką, znajduje ujście dla swej energii w tej ostatniej i ujaskrawia bardziej ogólną chciwość i więcej zaostrza stosunki ludzkie niż w innych okolicach kraju. Nawet w rodzinie, osobisty interes jej członków przemaga więzy krwi i ogólną jej korzyść. Sam sposób tworzenia się rodziny kurpiowskiej daje pierwszą podstawę do luźnej jej łączności. Trudno zaprzeczyć, że wszędzie małżeństwa zawiera się na trzeźwo i minęły czasy Filonów¹, jednakże i to trzeba przyznać, że zawsze istnieje wzajemna sympatja dwojga ludzi, wzajemny instynktowny pociąg do siebie, który otacza ich jakimś różanym obłoczkiem i który w przyszłości w małżeństwie dopomaga do złączenia się dwojga ludzi w jeden duchowy zespół, w jedność w dwóch osobach.

Wprawdzie, sprzeczność usposobień, osobiste wady i inne przyczyny wytwarzają nieraz najnieszczęśliwsze pożycie dwojga ludzi, złączonych z sobą pierwotnie pod czarem wzajemnych iluzji, lub na odwrót wszystkie warunki tak się szczęśliwie złożą, że dwoje ludzi, początkowo zupełnie sobie obcych, przyzwyczajają się do siebie, żyją i żyje zgodnie, a nawet szczęśliwie, jednakże to szczęście z przyzwyczajania nie będzie szczęściem istotnym, dopóki małżonkowie nie zdołają wyrobić w sobie instynktownego wzajemnego pociągu, co niestety, znacznie rzadziej się zdarza. Dlatego też nieraz filisterskie owo szczęście z przyzwyczajania zmać, a nawet zabije rozżarzone iskry w popiele wspomnień istotnego szczęścia człowieka lub dawnych iluzji, lub też nowe ich pożądanie, chociażby grzeszne i zwodnicze. Nie będę moralizował, że jedyną podstawą trwałości szczęśliwego pożycia w małżeństwie jest cnota małżonków, gdyż tam, gdzie aż cnota urabia szczęście małżonków – nie może być mowy o szczęściu istotnym, zresztą mówiąc o rzeczywistym życiu, trzeba brać ludzi takimi, jakimi są, a świat nie jest światem samych świętych i Katonów, więc i do prawdziwie szczęśliwych małżeństw przeważnie te tylko można zaliczyć, które we wzajemnej sympatji łączą się na dobrą i złą dolę.

Wewnętrzne to istotne szczęście człowieka ma niezmiernie doniosłe znaczenie praktyczne, promieniując na czyny zewnętrzne, do których czerpie się w nim bodźca i energię, otuchę i ukojenie, gdy tymczasem czezość i oschłość wewnętrzna we wzajemnym pożyciu małżonków i nieodłączne im zwykle codzienne szpilki domowych przykrości są zawsze trujące. Kłuta niemi dusza nasiąka jadem i marnieje i tylko w wyjątkowych osobistościach na grobie własnego szczęścia zrywa się do altruistycznych uniesień.

¹ Chodzi zapewne o sentymentalnych romantyków podobnych bohaterowi sielankowego wiersza *Laura i Filon*, autorstwa Franciszka Karpińskiego [przyp. aut. oprac.].

Myliłby się, kto by sądził, że wzajemna sympatja dwojga ludzi, nie jest znana ludowi wiejskiemu. Mając początkowe źródło we wzajemnym pociągu cielesnym, nie może mu być obcą i nie jest, a chociaż skutek niskiego stopnia rozwoju umysłowego ludu nie może w nim się rozwinąć intelektualnie i pozostaje na niskim cielesnym poziomie, nie mniej przeto nieraz jest głęboko odczuwana i na późniejsze życie wielki wpływ wywiera. Małżeństwa jednakże lud wiejski wszędzie zawiera najzupełniej na trzeźwo, bez żadnych wzajemnych iluzji, albo z wyrachowania – albo wprost obojętnie, boć przecież pobierają się i najbiedniejsi, a zatem bez żadnej rachuby. Jednakże może nigdzie lud nie pobiera się wprost tak cynicznie, jak na Puszczy.

Kurpie tworzą stadła, wszyscy bez wyjątku. Nie ma między nimi kawalerów w wieku odpowiednim do żeniaczki, a i stare panny są bardzo wielką rzadkością, chyba jako ułomne a biedne. Również wdowy do najpóźniejszej starości zawierają wciąż nowe związki małżeńskie, bardzo często kilkakrotnie. Chociaż powszechna ta dążność do tworzenia stadła z ogólnie społecznych względów jest wielce dodatnia, gdyż tylko życie w rodzinie najwięcej może się przyczynić do rozwoju społeczeństwa, nadto jak mówi Sienkiewicz „dla pokrzepienia serc”, że „tam, gdzie dzieci się rodzą”, tam otucha umrzeć nie może. Jednakże tylko zdrowa moralnie rodzina może być podstawą i rękojmią pomyślności i przyszłości społeczeństwa. Tymczasem, jak tu marzyć o zdrowej moralnie rodzinie na Puszczy, skoro Kurp żeniąc się w ogóle bardzo wcześnie, nie mówiąc już o jakiej takiej sympatji, której przy ożenku zupełnie w rachubę nie bierze, wprost nie szuka w nim towarzyski życia, lub pomocnicy w pracy, ale pieniędzy „na splotkę” z osady. Dlatego jedni szukają stu, inni dwustu rubli i. t. p., odpowiednio do tego, ile potrzebują na sploty, nie pytając zupełnie o moralność, pracowitość, wiek lub urodę dziewczyny. W ogóle nawet nie szukają kobiety, tylko „dobrego ojca”. Nieraz Kurp odchodzi od ołtarza od najurodziwszej i najnotliwszej dziewczyny i zaręcza się ze szpetną, lub wątpliwej moralności, byleby tylko miała „dobrego ojca”, który by mu rubli dał więcej, ba nawet krowę lub wieprzka postąpił. Toć samo i kobiety. Te znowuż nie „dobrego ojca”, ale „dobrego miejsca” szukają, to jest dobrej osady, małej gromady w izbie, jak np. mniej liczne rodzeństwa, braku „ojców” lub „dziadków”, dożywotników i. t. p., dogodnych dla siebie warunków, ale o pana młodego i przyszłego męża najmniej się troszczą. Byłem sam niedawno na weselu rozpromienionej oblubienicy, która po troistych zapowiedziach z trzema innymi kawalerami przed adwentem i w karnawale, wychodziła wreszcie w zapusty za czwartego. Bliski krewny panny młodej opowiadał mi i wychwalał świetne jej zameżcie, jak to ona dobrze za mąż wychodzi. – „No, a pan młody? – pokażcie mi pana młodego, bo nie byłem na ślubie”. – „Ej, kiedy pana młodego, to co prawda, ja nigdy nie widział, ale co dobre miejsce, to dobre, bo to i ojciec tylko bodaj jeden w chałupie i rodzeństwa nijakiego, a osada – całe pół gruntu” opowiadał zachwycony wujas. Tymczasem okazało się, że owa świetna partja – to cherlawe i młode, zaledwie 18-letnie chłopię, które zaszyło się gdzieś w kącie na własnym weselu, tak, że go nawet znaleźć długo można nie było, a dziewczyna, jak łania, ani nawet dbała o to, gdzie się on znajduje.

(D. c. n.)

Dominik Staszewski